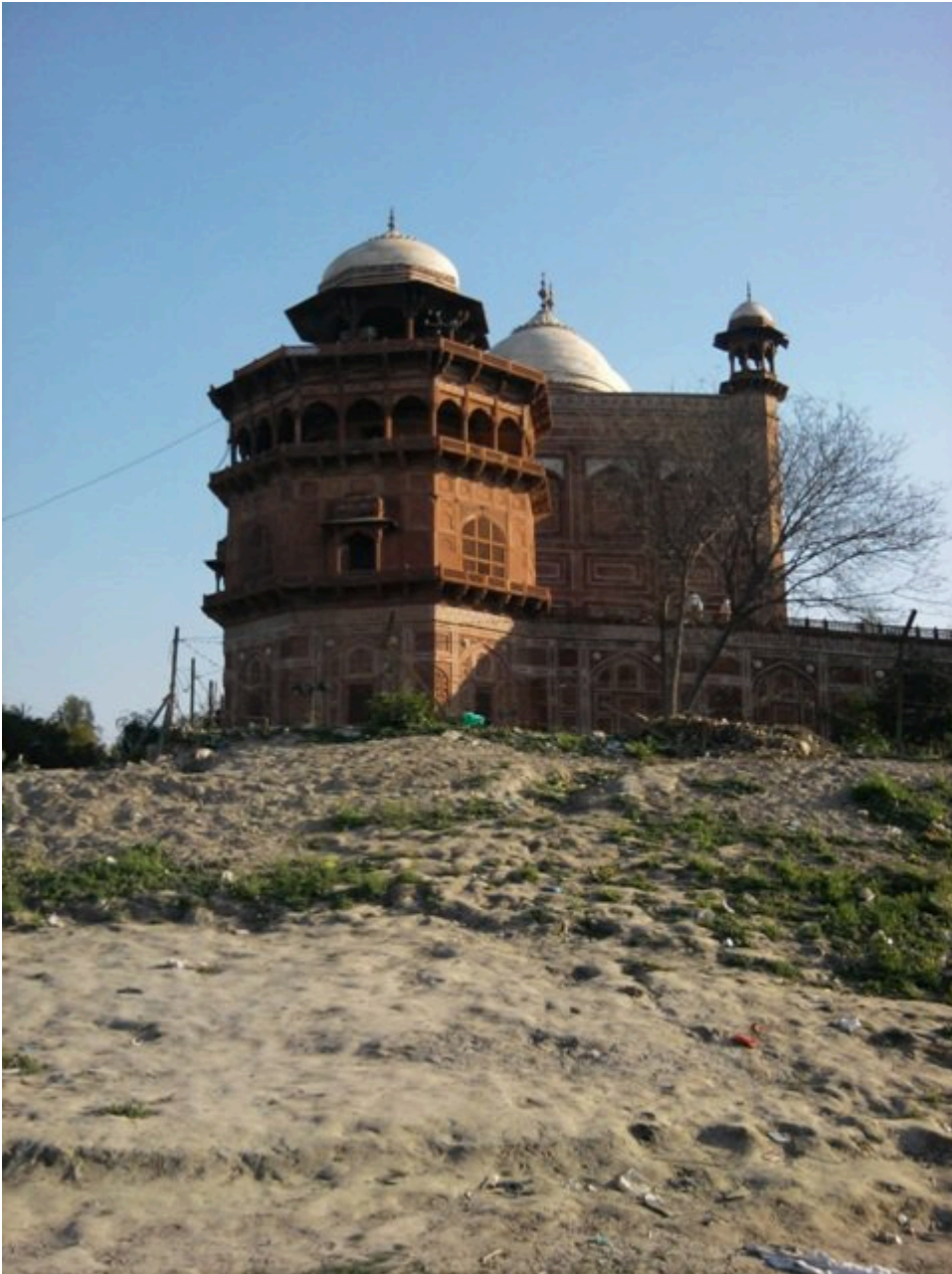


Rozdział 3.

Gdy skończył się koncert, pognali pospiesznie do wyjścia, by jak najszybciej złapać motorikszę. Na szczęście kierowca miał dobry humor i nie targowali się długo o cenę kursu. Było już po zmierzchu, dzięki dużej ilości drzew w okolicach Lodi i ozdobnym kanałom powietrze było rześkie i chłodne, co pozwalało zachować tym bardziej wyraziste wrażenia po występie Asada. Ogrody Lodi i przyległe tereny stanowiły drobny fragment reprezentacyjnej części miasta. Nie było w niej slumsów, ani tłocznych bazarów, nawet ulice były zadziwiająco puste i przejezdne. Wszędzie kłębiły się wiekowe drzewa skrywające w swoim cieniu nobliwe instytucje, ambasady i sale teatralno – muzyczne. Nikt nie bronił wstępu w te urocze obszary stolicy, jednakże mało kto decydował się zanurzyć w cieniu licznych parków, czy skorzystać z darmowego wstępu na koncerty, wykłady i wystawy. Większość mieszkańców Delhi walczyła zajadle o przetrwanie, a ci, którzy czuli, że już trwają, starali się wzbogacić. Miasto było na dorobku, podobnie jak cały kraj. Słuchanie starożytnej muzyki klasycznej Indii było zdecydowanie zbyt czasochłonne i niemodne. Dlatego po zmierzchu rejony te niemal całkowicie pustoszały. Gauri czuła się dobrze widząc tyle pustej przestrzeni. Życie w Indiach było przeważnie życiem w tłumie. Na każdym metrze kwadratowym bazaru, mieszkania, czy drogi musiały znajdować się co najmniej trzy osoby. Hindusi byli tak do tego przyzwyczajeni, że ogarniał ich lęk, gdy przez moment byli gdzieś sami, bez hałaśliwego akompaniamentu obecności innych osób.



Tymczasem riksza podskakiwała rażno na nierównej nawierzchni. Płandeki niezbyt solidnego pojazdu falowały na wietrze, a kierowca pogwizdywał coś wesoło. Żelazne rurki wzmacniające konstrukcję dawno straciły już swoją elegancję. Zielona farba łuszczyła się i odpadała całymi płatami. Po kilkunastu minutach podróży otoczyły ich neopalladiańskie wille, pamiątka po brytyjskich urzędnikach Cesarstwa Wschodnioindyjskiego. Hinduska lubiła egzotyczne dla niej attyki, wsparte na masywnych kolumnach, wzorowanych na greckich świątyniach, które znała jedynie ze zdjęć w

internecie. Chwilę później wjechali na otwartą przestrzeń Rajpathu, Alei Królów, gdzie z jednej strony majaczyła w dali Brama Indii, z drugiej zaś Pałac Prezydencki i dwa ministerstwa. Rajpath był miejscem defilad w święta państwowe i, co za tym idzie, celem działań rozmaitych terrorystów, których nielegalnych stowarzyszeń w Indiach było dużo i wszelkiego rodzaju. Rikszarz zwolnił mijając stanowiska ogniowe czujnych całą dobę żołnierzy, choć był to tylko niepotrzebny nawyk, gdyż armia nigdy nie wkraczała na teren działań drogówki. Również dla indyjskiej policji przekraczanie dozwolonej prędkości nie było godnym uwagi zadaniem. Miliony mieszkańców Delhi starało się poruszać szybko i w razie konieczności pod prąd, zaś strażnicy porządku nie mieli zamiaru wypowiadać wojny całemu miastu. W pobliżu Placu Connaught'a zrobiło się znów ciepło i duszno, gdyż nawet w nocy po tym wielkim rondzie przewalała się kawalkada licznych pojazdów mniej, lub bardziej zmechanizowanych. Po chwili wjechali w jedną ze szprych kolistej dzielnicy i wbiegli do kina. Byli oczywiście spóźnieni, wierni zasadzie swobodnego traktowania czasu, najważniejszej z nielicznych reguł respektowanych przez ich chaotyczny naród. Spóźnienie pogłębiły bramki do wykrywania metali i krótka rewizja osobista, rytuał szczególnie przestrzegany w kinie Plaza.

Aishwarya nie zawiodła ich oczekiwań. Była piękna i wspaniale tańczyła. Film miał całkiem dobrą fabułę, przyprawioną odpowiednio romantycznym wątkiem. Gauri zachwycała się przede wszystkim choreografią scen tanecznych. Farah Khan była mistrzynią w piętrzeniu rozedrganych grup statystów, w malowaniu za pomocą napiętego wizualnego rytmu nastrojów swojej opowieści. Choć film nie był nigdy sztuką równie potężną jak muzyka i nigdy zapewne nią nie będzie, młoda matematyczka czuła w obrazie Fary przebłyski ogromnego talentu, który również, podobnie jak w przypadku Asada, obnażał prastare i przedludzkie korzenie harmonii. Uroda Aishwaryi była jedynie kwestią konwencji jednego z gatunków ssaków zamieszkujących Ziemię. Krągłe piersi i szerokie biodra

zapewniały zainteresowanych o płodności ich posiadaczki. Sięgające pasa mocne i lśniące włosy świadczyły o tym, że już od lat rosły na wyjątkowo zdrowej kobiecie. Heroina filmu nie cierpiała ani nadwagi, ani też anoreksji. Jej umięśnienie nie niepokoiło męskiego widza groźbą niepożądaną dla niego dominacji w związku. Twarz miała idealne proporcje, oczy były odpowiednio wielkie i błyszczące. Te ostatnie cechy były mniej uniwersalne od zagadnienia kształtu bioder i podlegały często kaprysom zmiennych mód. Jednakże wszystkie elementy wyglądu aktorki, zarówno te bardziej podstawowe i ogólne w swoim charakterze, jak i te będące kwestią ulotnych trendów, nie miały wiele wspólnego z dalekim, kosmicznym źródłem harmonii. Ład wszechświata nie ssał mleka z piersi, choć oczywiście przyczyniał się również, między innymi, do tego typu zjawisk. Ład nie miał macicy, nie rodził dzieci, nie miał żadnego związku z osobą, z posiadaniem brody, fabuły etc. Harmonia wszechświata była zjawiskiem abstrakcyjnym, nieznanym ludziom przyziemnym, ani religijnym. Piękno nie rozmnażało się zatem płciowo, ani nie zważało na święte kąpiele w Gangesie, czy pokłony czynione w meczecie, czy cierpienia na krzyżu. Gauri lubiła je znajdować we wszystkim i, ilekroć je ujrzała, czuła się bardzo poruszona. To dlatego została naukowcem.

Tylko mi nie mów o tym, co myślisz o Aishwaryi – mruknął gniewnie Czandra widząc, że jego przyjaciółka chce coś powiedzieć.

Ależ myślę o niej jak najlepiej – zaprotestowała Gauri, – wygląda wspaniale i zrobiła duże postępy w tańcu kathak.

To dobrze... – odetchnął młodzieniec. – Czasem opowiadasz w trakcie oglądania filmów jakieś dziwne rzeczy o atawizmach i rozmnażaniu. A ona jest taka, że chyba bym spłonął, gdyby naprawdę na mnie spojrzeła... Kocham tylko ciebie Gauri, ale Aishwarya jest jak jakiś kataklizm, apsarasy które kusiły mitycznych mędrców muszą być jej siostrami...

Czandro! – upomniała go dziewczyna. – Mamy w sobie wiele

nagłych odczuć, niekiedy dla nas silniejszych niż wszystko, co nas otacza. Sądzimy, że to jest nasza wola, czy intuicja. Mieszkamy w nich, są nam bliższe niż nasze ciało. Ale pamiętaj! One są pełne granic. One nie obejmują zbyt wiele. Są skrótami dla osiągnięcia doraźnych, niemal mechanicznych celów. Cieszymy się nimi, bo też są naturalne i na swoim miejscu. Ale pamiętajmy, że to tylko iskry z wielkiego ognia, słuchanie ich zawsze i w pełni wiedzy donikąd.

Chodzi ci o popęd płciowy? – upewnił się jej przyjaciel.

Nie, raczej o wewnętrzny głos, moje ja i zdrowy rozsądek – stwierdziła poważnie Gauri. – Nie ma nic złego w chęci rozmnażania, gorzej jak ktoś uważa, że człekokształtny i (lub) człekomyślny bóg stworzył wszechświat.

Co jedno ma z drugim wspólnego? – rozłożył ręce Czandra.

Gdy ktoś nie wybiega poza ludzkie i zdroworozsądkowe sprawy, staje się własną pułapką.

Acia... – przytaknął po hindusku młody ekonom.

Nazajutrz wuj Gauri wyszedł na przechadzkę po tłoczonym i chaotycznym Pahar Ganju, dworcowej dzielnicy Delhi. Stary człowiek uwielbiał panujący tam chaos. Z przyjemnością przyglądał się pospiesznie zaimprovizowanym sklepikom, gdzie było wszystko to, co mogło zainteresować szukających duchowej odnowy turystów. Książki modnych szarlatanów mieszały się z nie mogącą się zestarzeć estetyką dzieci kwiatów, chłopci z pobliskich wsi demonstrowali swoje sklecone naprędce imitacje instrumentów muzycznych, pośrednicy nieistniejących biur podróży zachęcali do zwiedzania Agry i Varanasi, przede wszystkim zaś roiło się tu od fałszywych guru i skośnookich osobników cierpiących za Tybet. Na tłocznych, pstrokatych i błotnistych uliczkach maszerował zwarty tłum przybyszów i naciągaczy, zaś w powietrzu unosił się swąd spalin, które

wydobywały się z warczących, zbitych naprędce z byle czego prądnic. Czasem starczał zwykły motocykl, podłączony łańcuchem do zardzewiałego wału korbowego wpuszczonego w podłogę sklepu.

Namaste! – powiedział do jegomości z wyczesaną sumiennie białą jak śnieg brodą harmonizującą z idealnie wielką i ostentacyjną pomarańczową szatą świętego ascety.

Namaste! – odparł radośnie oszust. – Może zechcesz kupić książkę największego myśliciela Indii, który, tak między nami, jest wcieleniem samego najwyższego boga...

Nie sądziłem, że bóg pisze książki? – zdziwił się szalony kapłan, a jego pytanie z pewnością potwierdzało powszechną opinię na temat jego braku rozsądku. Większość przedstawicieli gatunku, do którego należał wuj Gauri wiedziała, że bóg namiętnie pisywał książki, do tego w wielu językach i bardzo ze sobą sprzeczne.

Ależ oczywiście! – zaprotestował szczerze zaszokowany naciągacz. – Tylko w książkach boga znajdziesz mądrość, szczęście i właściwą drogę. Pisał je ten, który jest prawdą, drogą i życiem.

To mi coś przypomina – podrapał się w czoło kapłan Durgi. – Ale po co ten cały bóg pisze książki? Jeśli rzeczywiście istnieje (a myślę, że nie), to przecież całkiem dobrze wyszedł mu ten wszechświat. To dużo lepsze niż ten cały starożytny bełkot i jego echo w dziełach tych, którzy do niego nawiązują.

Wszechświat to jest tylko tło – zaperzył się oszust. – Liczą się przecież ludzie i ich szczęście w życiu po życiu. Jeśli cokolwiek we wszechświecie jest godne boga, to tylko i wyłącznie my. Stworzył nas na swoje podobieństwo. Nic innego go nie przypomina. Dlatego trzeba myśleć tylko o nim, pomijając całą resztę, która jest zupełnie nieistotna.

Nie sądzisz, że książki należą do tła, o którym wspomniałeś? – zapytał szalony kapłan.

Nie, bo bóg napisał w nich o sobie – uśmiechnął się naciągacz. – Może jest to trochę nielogiczne, ale bóg jest sprawcą cudów i niczego sobie nie robi z logiki, jest przecież bogiem.

Lubię takie rozmowy, są zupełnie bez sensu – ucieszył się wuj Gauri. – Ciekaw jestem skąd się wzięła ta cała niepotrzebna logika.

Ach, to dzieło demonów – zauważył oszust. – Bóg stworzył je po to, żeby sprawdzić, kto zasługuje na to by czytać jego utwory literackie. No i obdarzył nas wolnością. Możemy wybierać między nim, a demonami. Tylko bóg mógł wymyślić coś tak niezwykłego jak wolność. O tym też zresztą napisał w książce.

Pisze w pierwszej osobie? – zaciekawił się szaleniec.

Nie, w trzeciej, ustami proroka, lub też syna, jak wolisz. On jest doskonały, więc również skromny. Nie lubi sam się chwalać, więc daje natchnienie innym, żeby go sławili.

To rzeczywiście byłoby żałosne, bóg chwalił się... Ale naprawdę nie ma nic w pierwszej osobie?! – zmartwił się wuj Gauri.

Nie jest aż tak źle – uspokoił go naciągacz. – Groźby są w pierwszej osobie.

Groźby?

O burzeniu miast, końcu wszystkiego, karaniu grzeszników, braku wyczucia tego co naprawdę ważne i o czym powinno się myśleć...

A co jest ważne?

Przede wszystkim on, później drugi Człowiek, koniecznie przez duże „C” (czyli „H” lub „M.”, gdyż mówili po angielsku) a później to już nic...

Kupiłbym powieść tak zdolnego autora – zapewnił rozmówcę wuj Gauri, – ale wszędzie tego pełno. Mam wrażenie, że cała

literatura opiera się na tej tematyce. Poczytałbym coś innego. Ani przeciw, ani za. Po prostu coś nie o ludzkości i nie o jej bogu... – oszust spojrział na niego zgorszony i odszedł. – On chyba nie był oszustem – pomyślał chaotyczny mózg szalonego kapłana. – Był prawdziwym przedstawicielem jednej z wielkich religii, respektowanych przez ogół mieszkańców Ziemi. Tacy są dużo szczęśliwsi – wuj Gauri poczuł się bardzo zadowolony.

Cierpię za Tybet! – zaczepił go ubrany w eleganckie dresy Tybetańczyk.

Miło mi – przywitał się wuj Gauri. – Ja się z kolei przechadzam po Pahar Ganju. Bardzo to lubię. Co poza tym słychać?

Zbieram datki na cierpiących za Tybet – posługujący się płynnym angielskim Tybetańczyk wyciągnął rękę i spojrział na szalonego kapłana wymownie.

Każde światowe mocarstwo ma wiele krwi na sumieniu – stwierdził od rzeczy kapłan. – Lecz jakoś Chiny szczególnie są w modzie. Widać są silne, ale nie dość silne. Nasi przodkowie byli okrutni. Mieliśmy miliony generacji rodziców, a każdy z nich dbał o to, by zwyciężyć z innymi przedstawicielami swojego gatunku. Czasem zbierali się w grupy i byli wobec nich lojalni, nie bezwarunkowo rzecz jasna. Im bardziej trzymali się swojego plemienia, tym byli bardziej wojowniczy wobec innych plemion. W wojnie nie ma nic złego, jest naszą matką. Dlatego masz synku sto trzydzieści siedem rupii i obiecaj mi, że pójdziesz z tym do MacDonalda i zamówisz duży zestaw, koniecznie z Colą. W ten sposób mój datek będzie zrealizowany w pełni.

Dobrze... – zgodził się zdumiony Tybetańczyk, który lubił posilać się w amerykańskiej sieci. W Indiach wciąż był to symbol wysokiego społecznego statusu. Rozmowa z wujem Gauri zabiła go zupełnie z tropu, więc udał się w stronę królestwa hamburgerów od razu. Z pewnością byłby spokojniejszy, gdyby

wiedział o szaleństwie starca.

Namaste córeczko! – zawołał szalony kapłan widząc swoją siostrzenicę, która siedziała zrezygnowana pod rozłożystym figowcem oblepionym świętymi obrazkami. – Czy mogłabyś na chwilę przerwać pogawędkę z tymi zabawnymi smugami i wspomóc swojego nieszczęsnego wuja? Oddałem moje ostatnie pieniądze uroczemu tybetańskiemu młodzieńcowi i nie stać mnie ani na obiad, ani nawet na powieści pisywane przez boga w trzeciej osobie. A to chyba ważne, by nie dać mu zalegać w księgarniach, czyż nie?

Nie przeszkadzasz mi wuju – odparła Gauri z rezygnacją. – Zupełnie nie mogę się z nimi porozumieć, choć są przecież tutaj, tuż obok. Sprzedałam właśnie na e-Buy listy Ramanujana, więc mogę ci dać dwa tysiące, wystarczy...?

Och, to więcej, niż mógłbym marzyć – ucieszył się starzec.

Sądziłam jednak, że przy bogini nie potrzebujesz takich książek? – zdziwiła się dziewczyna wręczając mu banknoty. Początkowo chciała zachować listy matematyka, ale uznała, że będą bezpieczniejsze u siebie. Ich nabywca był wykładowcą z Oksfordu, do tego z pochodzenia Tamilem.

Ona nic nie pisze – pokręcił głową szalony kapłan. – Starcza jej ziemia, zapach kwiatów i krwawe piękno drapieżnej tygrysicy. A przecież trzeba coś czytać, inaczej zupełnie zdiczeję. Moim zdaniem prawie wszystkie książki są napisane przez coś pomiędzy bogiem, a człowiekiem. Dlatego mądrze jest od razu sięgnąć do źródeł. Choć teraz, gdy o tym myślę, czuję się bardzo głodny i całkiem możliwe, że przejem moje literackie ambicje.

Żartujesz sobie wuju – zauważyła młoda matematyczka, – tymczasem ja mam poważny problem – wskazała wymownie na smugi przybierające niezwykle, nie należące do euklidesowej geometrii kształty. – Zdarzyła się rzecz prawie niemożliwa. Coś mnie usłyszało, lub może tylko zauważyło, jeśli było tu od

dawna. Być może jest to istota wyrosła z innej niż my ziemi. Tymczasem kontakt między nami okazuje się niemożliwy. Nie wiem nawet, czy to zjawisko jest żywe i inteligentne.

Czym są życie i intelekt? – zapytał retorycznie jej wuj. – Jesteśmy uplecieni z ciągłych i przypadkowych przemian. Rządzi nami głód i nasze idee, które stały się nie mniej niż my aktywne – obydwójce milczeli przez chwilę, patrząc na sprzedawców owoców i świętych obrazków. Nad nimi wznosiła się całkiem ładna budowla, nietypowa jak na tę chaotyczną część Delhi. Była mieszaniną meczetu i hotelu, dawno zapomniany architekt nadał jej mauretański charakter, widać było jeszcze zakurzone witraże i geometryczne linie kufickiego pisma, nie używanego w środkowych Indiach od czasu opuszczenia drugiej siedziby Sułtanatu Delhijskiego. – Czasem, przez przypadek, w którymś z nas, ludzi, płynie więcej starodawnych wątków. Wtedy ktoś taki podnosi głowę i patrzy w gwiazdy. Nie starczą mu już atawizmy własnego gatunku, zarówno te codzienne, jak i te, z których wyrastają wielkie religie. Ktoś taki czuje się jednym wśród wielu i wie, że jest jak wypowiedziane zdanie, że ma granice, widzi je wyraźnie... Wśród nieśmiertelnych głupców on jest jedynym śmiertelnym. A raczej „ona”, bo mam na myśli ciebie, moja droga. Ty wiesz bardzo dobrze, że życie to tylko pojęcie, granica między nim, a każdym innym zbiorem atomów jest czysto umowna. Życie jest jak rosnący kryształ, nauczyło się jednak rozmyślać nad swoim narastaniem. Te rozmyślenia, połączone z odrobiną sprytu zwie się zazwyczaj inteligencją.

Dziękuję za miłe słowa – uśmiechnęła się gorzko Gauri, – ale nie zmienia to zbyt wiele tej patowej sytuacji. Może, gdybym urodziła się później, ludzkość, zbiorowym wysiłkiem dokonałaby skoku w kosmos i moja chęć poznania byłaby zaspokojona lepiej. Ale jestem tutaj, w tej epoce, która dla naszych prawnuków będzie być może czasem ciemnoty.

Powiedziałaś „być może”, co masz na myśli? – zainteresował się szalenciec. Gauri podniosła się z ziemi, gdyż smugi znikły. Zaczęli iść w stronę dworca, przepuszczając skrzypiące

boleśnie rowerowe riksze. W ich otoczeniu zagęściła się liczba aptek, których właściciele słusznie liczyli na problemy żołądkowe świeżo upieczonych turystów. Zapachniały ajurwedyjskie zioła i zwykłe, powszechne na całym świecie medykamenty, szczytny owoc współczesnych nauk medycznych i rozwoju chemii. Jedne i drugie ułatwiały miłe spędzenie czasu w Indiach.

Całkiem możliwe, że mentalność naszego gatunku, pochodząca z dziesiątków tysięcy lat spędzonych w afrykańskiej sawannie nie zrozumie nigdy rzeczy odległych od tego rajskiego ogrodu naszych praprzodków – zauważyła jego siostrzenica, a powtórzyła tę myśl już nie pierwszy raz. – Całkiem możliwe, że nie będzie bardziej naukowej przyszłości. Ilu z ludzi rozumie fizykę kwantową, albo teorię strun? Ilu będzie mogło pojąć coś więcej? Mechanika Newtona była kiedyś nowym i śmiałym odkryciem, ale mieściła się jeszcze w obrębie ludzkich przyzwyczajzeń. Każdy mógł rzucić w górę kamień i patrzeć, jak on spada.

Czemu idziemy w stronę dworca...? – zdziwił się nagle starzec. Siostrzenica wzruszyła ramionami, więc i on szedł dalej. – Co do ludzkiej mentalności masz zupełną rację, moja droga. Tym niemniej stoi za nami ślepa i potężna bogini, zwana przez kapłanów biologii ewolucją. Jedną z jej ulubionych sztuczek są przypadkowe mutacje, które w labiryncie środowiska zawsze mają szansę okazać się bardziej bystre od sprawdzonych już rozwiązań. Natura sprawiła, że są nią teraz nie tylko krzewy i psy, ale również książki, komputery, idee i informacje. One również, na równi z nami, wędrują przez ten sam labirynt. Może twój mózg, odpowiednio zaprogramowany przez wciąż ewoluujące idee będzie kolejną szczęśliwą mutacją, czyli zdobywcą nowego środowiska, takiego choćby jak kontakt z obcymi?

Tak – przytaknęła Gauri. – Kontakt z obcymi jest dla nas nowym środowiskiem, gdyż wyraża egzotyczną ewolucję w innym miejscu wszechświata. Dla obcych zaś niekoniecznie, to zależy na ile są rozwinięci technologicznie i intelektualnie. Jeśli

odwiedzili już dostatecznie wiele zamieszkanym miejsc, dokonali z pewnością pewnej syntezy zastanych tam społeczności istot. Z pewnością nasza sytuacja może mieć wiele analogii. Być może większość mieszkańców kosmosu grzęźnie w pułapce zbyt wolno zmieniającej się mentalności i popada w stagnację nie wykraczając ani mentalnie, ani fizycznie z miejsca swoich narodzin. Jeśli tak rzeczywiście jest, to nie powinniśmy być zbyt atrakcyjni dla istot, które rozwinęły się na tyle dobrze, by podróżować między gwiazdami.

A te smugi? – zapytał ją wuj, przedzierając się przez tłum spływający kaskadą z betonowych schodów dworca. Jakiś radzastański Beduin wpadł na niego i spojrzał surowo przez zostawioną na oczy szczelinę.

Mogą być mechaniczną sondą, albo zwierzątkiem domowym, które uciekło ze statku obcych. U wysoko rozwiniętych istot fauna domowa może reagować na najbardziej dla nas wyrafinowaną matematykę, czemu nie? – Gauri uskoczyła w ostatniej chwili przed grupką żyłastych kobiet, odzianych w pstrokate pendżabi i niosących wysokie garnki na głowach. Była to jedna z możliwych na indyjskim dworcu wersji walizek. Najpopularniejsze były wielkie jutowe wory po hurtowych ilościach ryżu, herbaty, bądź cukru.

Skoro tak mówisz, to obcy może być również zwierzęciem nieudomowionym, które wyewoluowało do poruszania się w kosmosie, między gwiazdami. Może nie być istotą, która buduje statki, lecz wędrownym ptakiem, kosmiczną kaczką – zauważył wuj. Szli już po rampie nad peronami. Masywne i szare od pyłu lokomotywy elektryczne buchały żarem. Za nimi stały sznurem wagony z małymi, pozbawionymi najczęściej szyb oknami, które dla porządku i bezpieczeństwa były zamknięte żelaznymi kratami. Obok wagonów roił się tłum, a jeszcze więcej niż ludzi było wielkich jutowych worów. Choć pociągami nie wolno było przewozić zwierząt gospodarczych, niektóre bagaże zdawały się gdakać, lub kwiczeć.

Możesz mieć rację wuju – zgodziła się z nim Gauri. Była zaskoczona. Jej wuj pierwszy raz, od kiedy pamiętała, mówił tak naukowym językiem. Chciała go o to zapytać, ale w końcu zrezygnowała z tego zamiaru. Był przecież szaleńcem.

Kilka godzin później Gauri i Czandra uczestniczyli w lokalnym święcie Ganesi, boga – Słonia. Jaskrawy tłum wiernych tańczył przy wtórze bębnów, fletów i zawodzących szenajów, spokrewnionych z turecką zorną, czy europejskim obojem. Między tańczącymi płynął umieszczony na wielkiej lektyce posąg bóstwa. Pochód ledwo mieścił się w wąskich uliczkach starego Delhi, lecz w każdym wolnym jesszcze zaułku, pod zastłonami z materiału gospodarze ceremonii częstowali gości ostrymi przekąskami podawanymi na zszytych w talerzyki liściach drzew. Obok prowizorycznych stołówek stały głośniki ręcznej roboty, złożone z nieodzownej elektroniki i imponujących, zbitych przez blacharzy tub. Przez te malownicze urządzenia rozlegały się puszczane z płyt nabożne hymny, oraz kazania rywalizujących ze sobą kapłanów z małych i dużych świątyń Ganesi. Każdy turysta, który nieopatrznie zbliżył się do tych urządzeń, głuchł natychmiast i nieodwracalnie. Jednakże synowie i córki indyjskiej ziemi czuli się w tym chaosie zupełnie normalnie i mogli nawet rozmawiać, choć nie bez pewnego wysiłku. Również Gauri i Czandra korzystali z tego przywileju.

Musimy pojechać do Ogródów Lodi! – wrzasnęła młoda matematyczka, wykręcając zamaszysty piruet.

Byliśmy tam przecież wczoraj! – odkrzyknął jej przyjaciel wyskakując w powietrze.

Mimo to czuję nieodpartą chęć udania się tam! – Gauri wygięła swoje ciało na podobieństwo posągów Durgi.

Dobrze! – zgodził się Czandra klaszcząc rytmicznie. – To ładne miejsce! To dziwne jednak, że kierujesz się takimi nagłymi

odczuciami! To nie w twoim stylu!

Mnie to też zastanawia! – zgodziła się dziewczyna unosząc w powietrze kształtne ramiona. Tłum mijał właśnie ratusz. Z okien urzędu ktoś wyrzucił kilkanaście kilogramów kolorowego konfetti i uczestników święta przesłonił barwny, papierowy deszcz. Świętujący zakrzyknęli radośnie, a ich instrumenty zagrały jeszcze głośniej.

Skoro już mowa o dziwnych rzeczach, miałem ciekawy sen! – wołał Czandra. – Zawarte w nim obrazy, czy też fabuła nie zwrócą twojej uwagi, ale niezwykły był dojmujący nastrój, który ogarnął mnie gdy śniłem! Miałem wrażenie, że jestem na wielkim frachtowcu, takim, jakim transportuje się setki tysięcy ton węgla lub ropy! Wszystko było metalowe i zardzewiałe! Czułem ruch tej ogromnej, potwornej masy okrętu! Zawładnął mną duch podróży i nie kończącego się osamotnienia!

Ja też śniłam coś takiego! – kolorowa szarfa na piersiach Gauri malowała spirale w powietrzu. – To pewnie dlatego, że widząc te nasze smugi myślimy o odległych rzeczach i czujemy się samotni! Ale chodźmy już! Jedźmy do Lodi! – korowód mijał właśnie stację metra otoczoną przez sklepy ze śrubami i złomem, po paru krokach znaleźli się więc na schodach najgłębszej stacji kolei miejskiej. Peron był wąski, wykuty oszczędnie. Czandra nie lubił tej dusznej i klaustrofobicznej stacji, ucieszył się więc, gdy pociąg wyjechał z łoskotem z mrocznego tunelu. Po krótkiej podróży ogarnął ich spokój rządowej Alei Królów. Nad ozdobnymi kanałami unosiły się opary mgły, wypitej przez światło upalnego dnia. Niezliczone grupy matek, służących i dzieci siedziały bądź spacerowały po wielokilometrowych trawnikach, dziedzictwie zmierzchu Imperium Brytyjskiego. Przysadzista kopoła Muzeum Narodowego przysłaniała po części zbliżające się do linii horyzontu Słońce. W oddali majaczyła monumentalna Brama Indii. Udali się na pobliski przystanek autobusowy, gdzie chaotyczny tłum czekających zderzał się z kawalkadą zatrzymujących się bez ładu i składu autobusów. Bałaganu dopełniały riksze, których

kierowcy nie bez racji liczyli na niecierpliwość osób rozczarowanych komunikacją miejską. Gauri była braminką, zaś Czandra należał do wyższej kasty kupieckiej. Z tego powodu nie wypadało im mieszać się z klientelą komunikacji municypalnej, złożoną z drobnych sklepikarzy, służących, robotników i przedstawicieli jeszcze mniej szczytnych profesji. Mimo to Gauri lubiła czasami jeździć autobusem, zwłaszcza na mniej zatłoczonych trasach. Czandra miał odmienne zdanie, ale zwykle ulegał namowom swojej przyjaciółki, pocieszając się przy tym, że takie demokratycznosocjalistyczne gesty bywają czasem w modzie wśród studentów. Mimo to przeraziła go wataha chętnych biegnąca w stronę pięćsetki, jadącej na dalekie osiedle Saket, gdzie mieszkało wielu ubogich Delijczyków. Autobus, w zasadzie zbyt pełny już, aby się zatrzymać, mijał przystanek powoli i niezdecydowanie, zaś chętni do tej niezbyt komfortowej podróży czepiali się metalowych rur wypuszczonych w tym celu po zewnętrznej stronie drzwi. Młody i dumny ze swojego zajęcia konduktor pojazdu krzyczał triumfalnie i pospiesznie nazwy co ważniejszych przystanków obsługiwanych przez tę linię. Po chwili przyjechał również ich autobus, na szczęście nie docierający do wielkich osiedli miasta, przez co prawie pusty. Gauri i Czandra znaleźli się bez trudu we wnętrzu pojazdu. Jakiś młody mężczyzna wstał i zaproponował miejsce dziewczynie, tymczasem mody ekonomista miotał się pomiędzy uchwytami brawurowo i z fantazją prowadzonego autobusu. Z wysłuzonych głośników dobiegały dźwięki hymnów pochwalnych dla guru Nanaka, gdyż kierowca był Sikhem. Przeplatały je filmowe piosenki w rytmie bhangry, przynależnym do pendżabskiego tańca, popularnego i monotonnego po czasie dłuższym niż kwadrans. Mimo to owa ludowa tradycja nie nudziła się nigdy Sikhom, dla których stanowiła jeden z głównych przejawów ich narodowej przynależności.

Autobusy w Delhi były, ku zdumieniu ludzi nie orientujących się w indyjskich realiach, najszybszym środkiem poruszania się po mieście. Całe wykonane z niedbale skręconych żelaznych płyt przypominały czołgi. W Indiach w wielu wypadkach rządziło

prawo silniejszego. Żadna taksówka, ani tym bardziej riksza nie wyszłaby cało z kolizji z owym czołgiem marki Tata. Nawet większość ciężarówek była już zbyt rozklekotana i zużyta by stawać na drodze niezłomnego delijskiego autobusu. Z tego powodu jechali nader szybko, a parkowe krajobrazy dzielnic rządowych i rekreacyjnych zlewały się w wirujące smugi. Czandra z ledwością zachowywał postawę stojącą, wzbudzając tym wesołość prostych pasażerów pojazdu. Starał się nie zwracać na to uwagi i udawał, że śledzi z zainteresowaniem korony masywnych drzew i białe fasady postkolonialnych rezydencji.

Ci ludzie nigdy nie odniosą sukcesu – myślał w ramach zemsty nad rozbawionymi nim przedstawicielami niższych kast. – Szczęście i rozum są darami, które otrzymuje się wraz z urodzeniem, później tylko bardzo nieliczni mogą cokolwiek zmienić – długie wieki społecznych tradycji Subkontynentu zagościły w tej chwili na dobre w myślach młodzieńca. – Każdy ma swój los, przyszłość istnieje tak samo jak przeszłość i teraźniejszość, nikt nie zmieni żadnej z nich. Wszystkim rządzi przeznaczenie, przypadkowość i możliwość zmiany są tylko ozdobami na twardych ścianach losu.

Jacyż oni są mili – myślała w tym samym czasie Gauri. – Wcale nie bardziej niż inne warstwy społeczeństwa myślą o tym, by przetrwać i rozmnożyć się. Mało który z nich patrzy w gwiazdy, mało który pyta sam siebie o to, gdzie jest. To oczywiście żałosne. Ale czy bogatsi od nich i lepiej urodzeni przedstawiciele ludzkości myślą o czymkolwiek innym? Ci biedacy mają przynajmniej usprawiedliwienie. Gdyby nie byli tak fanatycznie wpatrzeni w swoją egzystencję, zginęliby natychmiast. Tymczasem dla ludzi, na których nie pada cień śmierci z głodu, czy z powodu prostych nieleczonych chorób, nie ma żadnego wytłumaczenia. Straszni są studenci, których stać było przecież na ponad kilkanaście lat nauki od dzieciństwa po dorosłość, których nie zajmuje nic więcej ponad myśl o żołądku, seksie i kompletnej rodzinie – dziewczyna poczuła się naprawdę zirytowana, gdy wyobraziła sobie to

wszystko. Jakaś blacha z autobusu spadła na płyty ulicy z potwornym łoskotem, płosząc dwie mały i ściągając uwagę przeżuwającej śmieci świętej krowy. – Ta długo już nie pożyje – pomyślała Gauri ze współczuciem, widząc, że zwierzę dławi się plastikowym workiem. – My, ludzie, piszemy o sobie, myślimy o sobie, zachwycamy się sobą i wymyślamy sobie podobne do nas istoty dla których cały wszechświat jest pyłkiem, czy też nic nie znaczącą tapetą. Żałuję, naprawdę żałuję, że chodzę w tej skórze – młoda matematyczka spojrzała na swoje atrakcyjne ciało z głębokim niesmakiem. – Ale może da się coś zrobić. Bądź co bądź wszystko jest dziełem natury i w ten sposób wszystko jest harmonijne i piękne, nawet jeśli estetyką dysonansu.

Tymczasem wjechali już na przystanek obok parku i Gauri wraz z Czandrą pospiesznie wyskoczyli z ruszającego już autobusu. Konduktor walnął trzy razy w karoserię pojazdu na znak, że można powrócić do normalnego tempa podróży. Te trzy dźwięki wydane przez popękaną blachę były ostatnim śladem po dominującej, głośniejszej naturze miasta. Teraz byli w cieniu drzew, a wokół nie było prawie nikogo, czyli ledwie trzydzieści osób. Skierowali się w stronę najbliższego wejścia do Ogrodów Lodi.

Ale – rozmyślała dalej Gauri, – gdyby nie owa bezcelowa i fanatyczna pasja do ciągłego i jednostronnego przeżywania własnej egzystencji rozszerzonej o potomstwo ewolucja naturalna nie mogłaby zachodzić. Nie zachodziła by też bez podboju nowych środowisk i wszystkich ekstrawaganckich szaleństw, którym ja z kolei podlegam. Ciągłe, bezmyślne powielanie starych mechanicznych uwarunkowań i odczuć to żyzna gleba, z której kiełkują źdźbła nowego. A nowe szybko staje się stare i po krótkim czasie przypomina bełkot zafascynowanego, egotycznego osobnika, który miliardowy raz przeżywa to samo od nowa. To jednak musi mieć swoje granice, nie wierzę, żeby ludzkość znalazła się gdzieś dalej. Zbyt wiele już w niej atawizmów, a zbyt mało odkrywania, filozofii

i bezinteresownego zachwytu. Ludzie w dzisiejszych czasach są bardziej niż kiedyś religijni, to widomy znak kryzysu. Jeszcze pięć wieków temu ich religie były mniej lub bardziej szczerze wobec przyjmowanych w miarę uczciwie modeli rzeczywistości. Oczywiście, szalony egotyzm naszego gatunku co rusz rodził najwyższych bogocześników, ale nie było w tym tyle aroganckiego kłamstwa. Dziś mamy chemię, biologię, matematykę i wiele innych nauk. One tłumaczą wszystkie zagadki egzystencji. A jednak ludzie odrzucają te wyjaśnienia i z niewyobrażalną arogancją sięgają po zmurszałe księgi, gdzie są pępkiem wszystkiego. Wolą wiedzieć o tym, niż cenić to, co ich otacza. Jednak, psychotyczna pewność siebie i prymitywizacja Natury służą znakomicie bezkonfliktowemu napełnianiu brzucha i radosnej prokreacji na przeludnionej Ziemi – spojrzała na Czandrę, który mijał właśnie furtkę ogrodu i rzekła. – Głupota jest fascynująca! Nawet najbardziej twórczy geniusz nie wymyśliłby jej, nikt nie miałby na tyle fantazji, żeby wyobrazić sobie coś równie dziwnego. Ale nie trzeba tego czynić. Jest wszechobecna... Odpad ewolucji. A może po prostu jej dzieło, w końcu ewolucja nie wiedzie ani do klęski, ani do zwycięstwa.

Ja tam nie widzę nic wielkiego w głupocie – przyznał szczerze Czandra, gdy zagłębili się w miękką liściastą tkanę miejskiego lasu. Kwiaty pachniały oszałamiająco, a papużki przekomarzały się wrzaskliwie. Promienie słońca malowały na ziemi postrzępione cienie. Woda sadzawek napełniała powietrze rozleniwiającym chłodem. Jednak zarówno on, jak i Gauri mieli dziwne wrażenie celowości swojego spaceru. Czuli, że muszą odwiedzić dziwny, warowny grobowiec jednego z nieszczęsnych emirów z rodu Lodi. W przeciwieństwie do innych sepulkralnych monumentów parku, był on ukryty w rzadko odwiedzanym zakątku. Szło się do niego niezbyt wygodnie. Trzeba było minąć wysokie, grube mury grobowca wpadające prawie do pobliskiego jeziora. Wąska ścieżka, sama w sobie bardzo malownicza, wywoływała mimo to przygnębiające wrażenie kalectwa przestrzeni w parku pełnym rozległych romantycznych perspektyw. Nie dla tej wąskiej

dróżki Czandra i Gauri uciekali z przeludnionych dzielnic mieszkalnych miasta. Mimo to wkrótce się na niej znaleźli, nie gubiąc się tym razem na krętych alejach Lodi. Spłoszone kaczkę uciekały im spod nóg, gdy szli spieszenie do pierwszej bramy kompleksu. Minęli ją szybko i znaleźli się na pierwszym dziecińcu, zdobnym w dwie kamienne altany, nadgryzione trochę przez czas. Czas połykał zazwyczaj jednym kęsem indyjskie budynki, a pomagał mu w tym okrutny dla murów klimat, oraz legendarna wręcz niedbałość budowniczych. Jednakże na architekturze mogolskiej, czy tej wzniesionej jeszcze w Sułtanacie Delhijskim, pocziwy Chronos, zwany w Indiach Kałą, łamał sobie zęby, przynajmniej do czasu kiedy nie pomogli mu ludzie szukających materiałów budowlanych z wtórnego obiegu. Na szczęście dla grobowców w Indiach dotykanie rzeczy związanych ze śmiercią i umarłymi należało tylko do najniższej kasty, która, co było również pomyślne dla grobowców, wyemigrowała w znacznej mierze na zachód, tworząc malowniczą społeczność Cyganów. Innym przejawem szczęścia grobowców była niezbyt aktywna natura tych spośród grabarzy, którzy pozostali. Gdy w świętych rzekach częstokroć, zamiast prochów, lądowały niedopalone ciała zmarłych, któż przejmowałby się rozbieraniem cieni dawnych imperiów. Nawet, jeśli czerwony piaskowiec dawnych zabytków przedstawiał całkiem znaczącą wartość, grabarze, po oderwaniu ewentualnych złocień i mozaik z półszlachetnych kamieni, nie czuli się na tyle mocni w ekonomii, by tej wartości dociekać. Wpisanie monumentów na światową listę zabytków nie miało wobec wyżej opisanych zjawisk żadnego znaczenia. W Indiach było dostatecznie wielu ludzi, aby łamać wszelkie zakazy powstrzymujące swobodną i konieczną do życia anarchię... Tymczasem, Gauri i Czandra weszli na drugi, wewnętrzny dziedziniec. Wypełniał go kwadratowy, geometryczny ogród, porośnięty imponującymi drzewami, stanowiącymi coś w rodzaju metropolii papug. Tam, gdzie zbiegały się ściśle symetryczne aleje, wznosił się sam grobowiec, zwieńczony przysadzistą kopułą, noszącą jeszcze ślady turkusowej glazury, koloru uwielbianego przez prawie wszystkie ludy muzułmańskie. Budowla była oktagonalna, zaś jej

ściany poprzedzone były cienistą kolumnadą. Dobrej jakości kaligrafie obiegały zręcznie łuki arkad. Ozdobą tego pięknego miejsca był również spokój, któremu Gauri i Czandra nie mogli się nadziwić. Obiecali sobie, że muszą odwiedzać częściej to miejsce, zwłaszcza, że wewnętrzny dziedziniec był już dostatecznie przestrzenny, a obiegające go mury porośnięte były bluszczem o przyjemnym odcieniu przydymionej zieleni. Stali zatem przez chwilę smakując błogą ciszę tego ponad pięćsetletniego kompleksu, gdy nagle poczuli nieodpartą chęć znalezienia się wewnątrz grobowca. Obeszli zatem metrowej wysokości rampę na której się wznosił i weszli na nią po małych schodkach. Znaleźli się w podcieniach, które zakrywało osiem małych kopułek obejmujących siostrę olbrzymkę. Tu kaligrafie stały się jeszcze bardziej eleganckie. Gauri odcyfrowała kilka arabskich zdań i z żalem doszła do wniosku, że treść literacka tego grobowca jest jak najbardziej standardowa. Chwyliła zatem rękę Czandry i niczym ciemnooka strzyga wciągnęła go do środka tego pałacu śmierci. Przez moment ich oczy przyzwyczajały się do mroku, po czym ujrzeli podbrzusze majestatycznej kopuły, wciąż jeszcze pełne malowideł, oraz wykładaną kolorowymi kamieniami posadzkę, na której wznosił się marmurowy sarkofag Afgana. Do środka wlatywały co jakiś czas ptaki i ich śpiew tworzył potężne echa składające się w niezwykłą muzykę. Nagle, zarówno Czandra, jak i Gauri, poczuli się bardzo zmęczeni. Bez słowa osunęli się na posadzkę budynku i oparli o kamienne schronienie szczątków emira Lodi, zasnęli...

[Następny rozdział](#)

[Poprzedni rozdział](#)

[Wszystkie rozdziały](#)